

Chłopiec z plakatem

Noc po pogrzebie

Wybrał ten numer z nudów.

Tak sobie potem wmówił. Był zmęczony, był pijany, był w rozpacz.

Metro było niemal puste, a on włóczył się po peronie stacji Centrum i nie miał co czytać. Wzrokiem błądził po tabliczkach informacyjnych, po szyldach i neonach sklepów ukrytych na galerii nad przeciwnym peronem i po reklamowych billboardach.

Każdy z billboardów miał swój numer. Każda z gablot na plakaty też.

Nocą i po kilku głębszych ludziom przychodzą do głowy różne rzeczy. Gdyby ktoś zapytał potem, dlaczego właściwie zrobił to, co zrobił, powtórzyłby pewnie za jednym z bohaterów westernu „Siedmiu wspaniałych”, że wtedy wydawało się to dobrym pomysłem.

Ale numer aż się o to prosił. W końcu wyglądał jak wyjęty prosto z książki telefonicznej: 8507185. Wypisany wyraźnie nad plakatem w ostatniej gablocie po prawej, naprzeciw zejścia ze schodów do metra na peron, z którego odjeżdżały składy w kierunku Kabat. Nie chodziło o zejście z ruchomymi schodami, ale to drugie – od strony podziemnego korytarza, którym mijając punkt dorabiania kluczy i wystawy z bielizną, można było dojść do domów towarowych.

Numer miał siedem cyfr. Tak jak trzeba – w każdym razie tak jak trzeba od czasu wielkiej reformy, polegającej na dołożeniu do warszawskich numerów siódmej cyfry z przodu. Co zdarzyło się przecież i w innych województwach.

Wtedy jeszcze tego nie wiedział. Telefoniczną numerologią zainteresował się dopiero później. Kiedy odkrył, że powinien.

Rozmowa pierwsza

Biiip. Przerwa. Biiip.

Każdy zna ten dźwięk. Regularne tętno oczekiwania na nawiązanie połączenia.

– *Ja?*

Nie odpowiedział. Po chwili obcy głos rzekł zdenerwowanym tonem:

– *Wer ist das?*

Milczał.

Drugie *Wer ist das?* było głośniejsze i bardziej gniewne.

Rozłączył się.

Następnego dnia

Wiedział, że to było głupie.

Wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju. Powinien zadzwonić i przeprosić. Co z tego, że Niemiec myślał pewnie „pomyłka”. Dzwonienie w środku nocy do obcych ludzi to nie jest normalna sprawa. Niby błażostka, ale czuł, że jeśli nie przeprosi, będzie to siedziało w nim jak zadra przez wiele dni. Nie

dlatego, że chodziło o głupi telefon. Dlatego, że przestawał panować nad swoim życiem, wszystko rozplywało się między palcami, jakby próbował zacisnąć garść na wodzie. Rozsypywał się, dryfował, gubił. Ten telefon był tylko symbolem. Małym, pieprzonym symbolikiem. Czy to słowo w ogóle ma zdrobnienie?

Trzeba jeszcze raz zadzwonić. Koniecznie.

Do roboty, wściekły Niemiec sam się nie przeprosi.

Odszukał w telefonie listę połączeń wychodzących i zadzwonił pod ten sam numer, z którym połączył się w piątkową noc.

Nikt nie odbierał.

Ale była sobota, więc się nie zdziwił. Może gość był na spacerze. Albo wyjechał na weekend.

W niedzielę nie dzwonił. Jeszcze by się facet wściekł, że ktoś mu przeszkadza dzień święty święcić. O ile Niemcy cokolwiek święcą. Znaczą świętują.

W poniedziałek zadzwonił, ale nikt nie odbierał. Ani we wtorek, środę i żaden z kolejnych dni.

A potem o wszystkim zapomniał.

Dziesięć dni później

Przypomniał sobie, przechodząc obok poczty. Przystanął i skojarzył. Kiedy był mały, na poczcie leżały stosy obszarpanych tomów o oślich rogach. Książki telefoniczne. Może przynajmniej sprawdzi, do kogo się wtedy dodzwonił. Może nie do domu, tylko do jakiejś firmy? Może znajdzie inny numer i poprosi... No właśnie, kogo poprosi do telefonu? „Tego pana, któremu przeszkodziłem nocą, dwa tygodnie temu”?

Czasy się zmieniły. Na poczcie nie było żadnej książki telefonicznej, panienka z okienka poinformowała, że już od dawna nie mają takiego obowiązku. Podobno na poczcie głównej jakieś książki są.

Główna była daleko, więc wybrał prostsze rozwiązanie.

Po wpisaniu w gugla hasła „książka telefoniczna” jako pierwsza wyskoczyła strona o dość oczywistym adresie ksiazka-telefoniczna.com. Oferowała możliwość wyszukiwania danych według nazwy firmy, adresu, e-maila lub numeru telefonu oraz według słów kluczowych.

Jedynym rekordem pojawiającym się po wpisaniu numeru 8507185 było biuro kredytowe z Rzeszowa. Okej, czyli nie mieszkanie. Biuro. Jest sobie jakiś Niemiec i pożycza ludziom pieniądze na Podkarpaciu. Co jeszcze?

Przeszukiwanie udostępnionych w Internecie innych baz danych przedstawianych jako katalogi firm, książki telefoniczne i książki teleadresowe niczego więcej nie dało.

Kilka chwil po wstukaniu w klawiaturę numeru (najpierw kierunkowy do Rzeszowa – 17, potem 8507185) słuchawkę podniosła kobieta o ciepłym, ale zmęczonym głosie.

– Musiał się pan pomylić – powiedziała, kiedy w kilku niezgrabnych zdaniach wyłuszczył jej sedno sprawy. – Codziennie siedzę do późna. W piątki też. Oprócz pośrednictwa w kredytach prowadzę również biuro księgowo. Mamy teraz naprawdę dużo pracy. Rzadko kiedy wychodzę przed północą. Nikt nie dzwonił wieczorem w ostatni piątek. Ani w tamten piątek. To pomyłka.

Z jej słów była taka pewność, że nie śmiał dopytywać o tajemniczego Niemca, który mógłby wśliznąć się nocą do biura, żeby przypadkiem odebrać telefon z Warszawy.

I właśnie w tym momencie zrozumiał, że coś tu bardzo nie pasuje.

Przecież tamtej nocy nie wpisywał żadnego numeru kierunkowego. Po prostu zadzwonił pod numer z billboardu.

Powinien dodzwonić się do Warszawy, a nie do Rzeszowa.

Stop. Właściwie to nigdzie nie powinien się dodzwonić, bo nie wybrał żadnego numeru kierunkowego. Raz jeszcze sprawdził w liście wykonywanych połączeń. Zdecydowanie, wybrał wtedy tylko siedem cyfr. W jaki sposób dokądkolwiek się dodzwonił? Numery komórek miały dziewięć cyfr, a siedmiocyfrowe numery stacjonarne wymagały kierunkowego.

Tego samego popołudnia pojechał metrem na stację Centrum.

Przy gablocie numer 8507185 stał chudy facet w roboczym, drelichowym ubraniu. Gablota była otwarta, żarówki podświetlające od spodu plakaty – wyłączone. Na posadzce leżała wielka skórzana kanciasta torba, z której wystawały rozmaite kable i narzędzia.

– Wandale? – zapytał elektryka, wcielając się najlepiej jak umiał w rolę ciekawskiego, życzliwie nastawionego przechodnia.

– Awaria – lakonicznie odparł elektryk. – Zarobiony jestem, wie pan, nie było kiedy naprawić. Cały rewir mam na głowie.

– Całą stację – powiedział ze zrozumieniem.

– Żeby! Całe metro, i jeszcze nośniki przy Dworcu Centralnym. A instalacja kiepska. Ciągle się coś przepala. Żarówki też takie sobie. – Elektryk potrząsnął świetlówką wykręconą przed chwilą z wielkiego poziomego uchwytu.

– No to łatwo pan nie ma.

– Panie, a kto dzisiaj ma łatwo? – powiedział na do widzenia elektryk.

Wieczorem raz jeszcze zadzwonił na numer znad gabloty. Nikt nie odbierał.

Wtedy pomyślał, że czas na nieco odważniejsze eksperymenty.

Najpierw spróbował wybrać jakiś inny siedmiocyfrowy numer, bez wpisywania numeru kierunkowego. „Przepraszamy. Nie ma takiego numeru. Sprawdź numer i spróbuj ponownie. *Sorry, but the number you dialled is not recognised. Please, check the number and try again*”.

Potem wrócił do 8507185, ale dokładając warszawski kierunek, liczbę 22. „Przepraszamy. Nie ma takiego numeru. Sprawdź numer i spróbuj ponownie. *Sorry, but the number you dialled is not recognised. Please, check the number and try again*”.

A jeśli jednak dodzwonił się wtedy na komórkę? Tylko jak? Skąd wziął brakujące dwie cyfry do dziewięciu? A jeśli przyduśli ostatni klawisz i zamiast kończącej numer jednej piątki wbiły się jeszcze dwie kolejne?

Widziałby to w spisie wykonywanych połączeń. A tam jak byk widniało 8507185, a nie 850718555.

Mimo to spróbował.

„Przepraszamy. Nie ma takiego numeru. Sprawdź numer i spróbuj ponownie. *Sorry, but the number you dialled is not recognised. Please, check the number and try again*”.

A jeśli to numer telefonu komórkowego, ale nie z polskiej sieci? Może potrzebny jest międzynarodowy prefiks? Tylko jaki?

Wrzucił numer w google. „Okolo 69 wyników (0,15 s)” – odpowiedziała wyszukiwarka. Pod kilkoma polskimi linkami zaczynały się zagraniczne, ale nie zwiastowały odpowiedzi. Strony reklamowały się hasłami: *Kdo mi volal?, Co je to za číslo?, Komu patři telefon?, Telefonvorwahl, Ort & Rufnummer, Телефонные номера, Vorwahl & Telefonnummer – Wer ruft an?, Infotelefonica de España* albo *Cellphone Number starts with 8507185*. Za linkami nie kryło się nic poza generowanymi automatycznie spisami wszelkich możliwych numerów. Ślepy zaułek. Zresztą nawet gdyby okazało się, że numer istnieje i jest zagraniczny, co właściwie mogłoby to zmienić?

Przez chwilę zastanawiał się, czyby nie wybrać numeru, poprzedzając go za każdym razem

kierunkowym do innego kraju. W końcu nie ma tych krajów aż tak wiele, pomyślał. I dopiero wtedy uświadomił sobie głębię swojej obsesji.

To były naprawdę złe dni, które wypadły w złym miesiącu, usadzonym w samym środku bardzo złego roku. A on zamiast poskładać znowu wszystko razem i iść dalej, zamiast być dorosłym facetem, rozklejał się nad jakimś głupim telefonem, nad jakimś spięciem w sieci komórkowej, przypadkowym połączeniem, do którego nie powinno nigdy dojść, ale doszło, bo był pijany, wściekły i przybity.

Ten cholerny piątek. Gdyby to się wydarzyło w jakikolwiek inny dzień. Cholera, gdyby, to właśnie nic wcale by się nie wydarzyło.

Potrzebuję pomocy, pomyślał. I zaraz się zawstydził. On potrzebował po prostu wziąć się w garść, to inni potrzebowali pomocy naprawdę.

Wziął kilka głębokich oddechów, uspokoił puls i sięgnął po komórkę. Powinien był wykonać ten telefon już dawno temu.

Odebrała niemal natychmiast, jakby czekała, aż zadzwoni.

– Cześć, mam – powiedział. – Trzymasz się jakoś?

A potem długo rozmawiali. Długo. Niby tyle, ile trzeba, ale wciąż za krótko.

Rozmowa druga

Biiip. Przerwa. Biiip.

– Tak, słucham? – powiedział Wojciech Mann. – Halo?

Odczekał jeszcze dwie sekundy, a potem się rozłączył.

Dwadzieścia dwa dni później

To było szaleństwo. W najlepszym razie: dlaczego właściwie Wojciech Mann miałby odebrać telefon w zastępstwie tajemniczego Niemca, który nocą włamał się do biura księgowego na Podkarpaciu? W najgorszym – to jakieś halucynacje.

Po prostu się pomylił. To był jakiś przypadkowy facet, z którym przypadkowo rozmawiał. To znaczy – nie rozmawiał, bo nie wydusił z siebie ani słowa.

Ech, gdyby to było takie łatwe. Ale naprawdę znał ten głos. Wszyscy w Polsce znali i nie sposób go było pomylić z żadnym innym. A może to był imitator głosów? Który akurat ćwiczył tembr Wojciecha Manna? Stop.

To było szaleństwo, rozumiał to doskonale. Właśnie taki paranoiczny sposób myślenia omal nie doprowadził go wcześniej do wydzwaniania po wszystkich stu dziewięćdziesięciu czterech państwach świata, czy ile ich tam jest, żeby sprawdzić, czy w lokalnych sieciach komórkowych nie loguje się przypadkiem miejscowa komórka o numerze 850718555.

Ano właśnie. Nawet Wojciech Mann nie potrafi odebrać telefonu pod numerem, który nie istnieje. Ani MacGyver, ani nawet Steve Jobs. No, może Jobs by potrafił. Gdyby żył.

O ile pierwszy telefon był wynikiem pijackiej głupoty, o tyle drugi był efektem mądrości na trzeźwo. To miał być koniec, a nie początek. Chciał tylko przekonać się ostatecznie, że wszystko, co wydarzyło się tamtej piątkowej nocy, było absurdalnym zbiegiem okoliczności, chwilowym zawirowaniem nienormalności na powierzchni normalności, niemożliwym, a jednak przez moment aktualnym wyglupem, pogłębionym jeszcze przez podły nastrój. Zadzwonił więc, by usłyszeć znajome: „Przepraszamy. Nie ma takiego numeru. Sprawdź numer i spróbuj ponownie. *Sorry, but the number you dialled is not recognised. Please, check the number and try again*”, po czym raz na zawsze wyrzucił ten numer i związane z nim wspomnienia z pamięci.

Póki po drugiej stronie nie odezwał się Wojciech Mann i wszystko nie poszło w diabły.

To był jednak dopiero początek szaleństwa, co uświadomił sobie tego samego dnia po południu, wracając do domu i idąc szybkim krokiem aleją Niepodległości. Zapamiętał dokładnie ten moment – kiedy już minął sklep z herbatą i przechodził obok małej publicznej biblioteki, na drzwiach której wisiała kartka z napisem zachęcającym do przekazywania książek.

Książka, Wojciech Mann, dziwny numer telefonu i gablota z reklamą, wszystko to nagle złączyło się w jego umyśle w jedną całość, sprawiając, że rzucił się z powrotem do metra, roztrącając po drodze przechodniów. Na peronie stacji Raławicka z pociągu jadącego na Kabaty wylewał się wątył strumyczek pasażerów, po drugiej stronie kilkanaście osób czekało na pociąg sunący ku Młocinom. Według świetlnej tablicy została minuta i dziesięć sekund, które ciągnęły się jak godziny. Wbił się w sam środek ciżby wypełniającej skład złożony z moskiewskich wagoników przypominających szynobusy z lat sześćdziesiątych. I wyprysnął jak oparzony na stacji Centrum, po czym pognął czym prędzej na pięterko, skąd zbiegł na przeciwległy peron. Ten, gdzie wszystko się zaczęło.

Miał rację. Wewnątrz reklamowej gabloty numer 8507185 wisiał pięknie podświetlony plakat reklamujący książkę „Drugie podróże małe i duże”, kontynuujące, jak głosiła informacja u dołu, opowieści z wydanej kilka lat wcześniej książki „Podróże małe i duże, czyli jak zostaliśmy światowcami”, napisanej przez Wojciecha Manna jeszcze z Krzysztofem Materną. Nowa książka była dziełem Manna solo, i to jego twarz niepodzielnie królowała na okładce. Przypomniał sobie, że przecież zauważył tę reklamę kątem oka, zbiegając po schodach pół godziny wcześniej, ale nie zwrócił na nią szczególnej uwagi.

Teraz patrzył.

Numer gabloty cały czas znajdował się w tym samym miejscu co zwykle. Czarne cyfry na białym tle, po lewej stronie ramy, na górze. Mniej więcej nad prawym policzkiem – tym bardziej obwisłym – uśmiechniętego Wojciecha Manna.

Oparł się o ścianę przy najniższym stopniu schodów i wyciągnął z kieszeni telefon. A potem wybrał numer.

Rozmowa trzecia

Biiip. Cisza. Biiip. Cisza. Biiip.

– Słucham – powiedział Wojciech Mann. A po dłuższej chwili ciszy wymamrotał: – Cholery można dostać.

I się rozłączył.

Dwadzieścia trzy dni później (i kolejne też)

Jak na wariata, pomyślał, działałam bardzo racjonalnie.

Następnego dnia spisał numery znad wszystkich gablot reklamowych i bilbordów na stacji Centrum. Zajęły razem dwie stroniczki w czarnym notatniku. Poświęcił na to w sumie nie więcej niż kilkanaście minut, co już z nadatkiem wystarczyło, by policjanci i funkcjonariusze Służby Ochrony Metra patrolujący galerię nad peronami zaczęli spoglądać na niego podejrzliwie.

Potem usiadł na ławce pod Pałacem Kultury. Dzień był pochmurny, lecz suchy. Dziewczyny z Greenpeace kręciły się po szerokim chodniku i próbowały zaciekawić przechodniów podpisami pod jakąś petycją. Od strony wejścia do metra dobiegał rytm wystukiwany przez chudego faceta bębniącego na odwróconym drewnianym krześle. Dwie ławki dalej jakaś parka obłapiała się dość bezceremonialnie, naprzeciw ponury dres żarł kebab, a biały sos zbierał się pomału między jego nogami w sporą kałużę. Dwóch bezdomnych zakosami wlekło się w stronę Centralnego, podśmierdując niemilosiernie. A on

siedział na ławce z czarnym notatnikiem w jednej dłoni oraz z telefonem w drugiej i przeprowadzał eksperyment.

Pół godziny później wiedział już, że wybranie każdego z numerów, które zapisał, kończy się tak samo. „Przepraszamy. Nie ma takiego numeru. Sprawdź...” Więc po kolei spróbował zadzwonić pod każdy jeszcze raz.

Rozejrzał się wokół. Na najbliższej ławce obściskiwala się jakaś inna para. Inny bezdomny kręcił się przy wejściu do Dworca Śródmieście. Dziewczyny z Greenpeace łowiły naiwnych kawałek dalej, tuż przy schodach, którymi gęstniejący tłum płynął ku wejściu do metra. Kilku gości jadło kebab. Dzień jak wszystkie inne.

Nie dla mnie, pomyślał.

Musiał poczekać, aż zmienią plakat.

Rozmowa czwarta, piąta i inne

Biip.

– Halo?

Biiip.

– *Hello?*

Biiip.

– *Who's there? Who's talking?*

Biiip.

– *Go fuck yourself, little schmuck!*

– *No me jodas!*

– Kto mówi?

Biiip.

Pięć miesięcy później

Łatwo przyzwyczać się do podwójnego życia. Wystarczy zatrzymać to drugie tylko dla siebie. Nie miał innego wyjścia. W końcu kto by uwierzył?

Żył więc tak jak dotąd, pracując, odpoczywając, chadzając czasem do kina i dzwoniąc do matki, kiedy tego potrzebowała. A potrzebowała często. Zwykle życie było dobre. Kilka razy nawet umówił się z dziewczyną. I to z tą samą. Uśmiechał się, jak zwykle, jadł to, co zwykle, i starał się spać, jak zwykle. Z tym ostatnim bywało różnie. Ale nikt nie jest przecież doskonały.

Jednocześnie żył życiem drugim, którego rytm wyznaczały zmiany ekspozycji w gablocie reklamowej numer 8507185 na peronie metra, stacja Centrum, kierunek Kabaty. Widział ją każdy, kto schodził od północy, od strony podziemnego przejścia pełnego wielkich wystaw z obciążniętymi bielizną manekinami. Ale nikt z nich nie wiedział tego, co on.

To było jak narkotyk. Jak sen, który śnił na jawie, w najdziwniejszy ze sposobów, bo przecież jednocześnie z wszystkimi normalnymi, całkiem zwyczajnymi rzeczami, które wypełniały jego życie. Jakby miał sekretną kochankę, o której wie tylko on jeden. Ukrytą, wyrafinowaną, kapryśną. Irytującą. Ale wciąż tylko jego.

Najgorzej było, kiedy trafiały się puste przebiegi. W ciągu pół roku zdarzyło się to trzy razy. Kiedy w gablocie reklamowano za pomocą szczegółowego programu jakieś głupie targi i kiedy wisiał tam absurdalny plakat zapraszający maturzystów do studiowania na jakiejś uczelni szczycącej się najmniej rozpoznawalnym logo w dziejach warszawskiej edukacji. No i wtedy, na początku, czyli tuż po

Wolfgangu Schorlau, a przed Wojciechem Mannem. Nikt nie odbierał, kiedy z powodu awarii oświetlenia gabloty była pusta.

Dlaczego Schorlau? Jak przypuszczał, to właśnie on był tajemniczym Niemcem, który odebrał telefon w środku tamtej pijanej piątkowej nocy. To w owym czasie w gablocie wisiał plakat reklamujący jego nową powieść o Georgu Denglerze, czyli ciąg dalszy „Błękitnej listy” i „Zmowy milczenia”. Głównym elementem plakatu było wielkie zdjęcie autora, przypominającego trochę podstarzałego Johna Lennona, a trochę jakiegoś belgijskiego pedofila z listu gończego.

Nie czytał książek Schorlaua, nigdy wcześniej o nim nie słyszał i nie sądził, by miało się to zmienić, chyba że Schorlau powróci do gabloty numer 8507185 w roli głównej atrakcji i trzeba będzie do niego zadzwonić. Ale pamiętał twarz i treść plakatu.

Eksperymentował więc dalej. Dzwonił po każdej zmianie ekspozycji. Skrupulatnie wszystko notował. Czarny notes wypełniał się informacjami: o której godzinie wybierał numer i z jakim efektem.

Kto by uwierzył.

Przez te kilka miesięcy dodzwonił się między innymi do Scarlett Johansson i Jennifer Lawrence. Jak głosiły zapisy w notatniku, z pierwszą udało mu się połączyć nawet trzy razy. Za trzecim krzyczała coś o stalkingu. Dwayne Johnson brzmiał sympatycznie, jak przystało na gwiazdę familijnego filmu o dzieciach na bardzo niebezpiecznej wyspie chronionych przez bardzo przyjaznego tubylca. Tubylca grał właśnie Dwayne Johnson. Najbardziej kasowy aktor Ameryki prowadził konwersację przez całe dwie minuty, przekonany, że rozmawia z umówionym wcześniej czyścicielem basenów. I nie przeszkadzała mu nieco toporna angielszczyzna rozmówcy.

Zmieniały się plakaty, zmieniali się rozmówcy, a numer działał bez pudła, za każdym razem. Christian Bale był niemiły, Ben Affleck uprzejmy. Osobną kartkę w notatniku zajmowały gwiazdy robiące wrażenie naćpanych. Kartka szybko zamieniła się w mały rozdział.

Najbardziej opryskliwe były polskie gwiazdeczki. Z żadną nie udało mu się zamienić więcej niż paru słów. Zresztą, jak pomyślał, żadnej z nich nie miał chyba nic do powiedzenia. I vice versa. Wyjątkiem był pewien krakowski pisarz, alkoholik cierpiący na alzheimera, którego kudłata twarz promowała czwarty tom jego zapisków z codzienności. Ten odebrał telefon i przyjacielsko dyskutował z nieoczekiwanym rozmówcą przez dobry kwadrans, życząc mu na zakończenie dobrej nocy i dobrego życia. Niestety, następnego dnia nie pamiętał, z kim rozmawiał poprzedniego wieczoru i o czym, co skutecznie zakończyło pięknie zapowiadającą się telefoniczną przyjaźń.

Plakaty wymieniano co tydzień lub co dwa tygodnie, zwykle w weekendy. To wprowadzało do oczekiwania dodatkowy dreszczyk niepewności. Narzucił sobie w związku z tym pewien reżim: w każdy poniedziałek, jadąc do pracy, wysiadał jak gdyby nigdy nic na stacji Centrum, przechodził jak gdyby nigdy nic górą na przeciwległy peron i zatrzymywał się przy gablocie reklamowej numer 8507185. Robił zdjęcie komórką. Zapisywał w notesie nazwiska gwiazd, tytuł filmu, książki albo płyty, której istnienie świata właśnie obwieszczano, przyglądał się dokładnie zdjęciom, jakby próbując wywróżyć z rysów twarzy, co czeka go wieczorem, po czym wychodził z metra i jakby nigdy nic jechał do pracy.

A wieczorem dzwonił, jak przystało na człowieka prowadzącego podwójne życie.

Rozmowa dwudziesta siódma

Najciekawsza rozmowa odbyła się w całości po angielsku.

Biiip.

– Słucham?

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór – odparł głos.

Brzmiał dość przyjaźnie.

– Cały czas słucham – rzekł głos.

I to było skrajnie zbijające z tropu. Jakby mężczyzna oczekiwał, że ktoś zadzwoni.

– Na początek mógłby się pan przedstawić – rzekł głos. – Choć nie przywiązuję do konwenansów aż tak wielkiej wagi. Moja przebrzmiała brytyjskość nie wiąże się ze sztywnością. – Zaśmiał się.

Cisza.

Po prostu nie wiedział, co powiedzieć. I wystraszony rozłączył się, oczywiście, lecz zanim to zrobił, zdążył jeszcze usłyszeć wypowiedziane już smutniejszym tonem:

– Szkoda. Wie pan, tutaj raczej nikt nie dzwoni.

Bip, bip, bip.

Spojrzał na zdjęcie plakatu z gabloty numer 8507185 zrobione rano telefonem komórkowym. Z małego, trochę przykurzonego ekranu nokii przyglądał mu się mężczyzna w mocnym makijażu, z zabawnym wąsikiem i podniszczonym melonikiem na głowie.

Kino Kultura zapraszało na pokazy specjalnie odnowionej cyfrowo „Gorączki złota”, którą wprowadzono ponownie na ekrany świata w dziewięćdziesiątą rocznicę premiery. Z pewnym opóźnieniem film miał być wyświetlany w Warszawie, na specjalnych pokazach z żywym pianistą odgrywającym ścieżkę dźwiękową.

Chryste Panie, pomyślał. Dodzwoniłem się do Charlesa Chaplina.

Dzień po...

– Cześć, mam – powiedział do słuchawki. Może było to nieco ekscentryczne, ale wciąż miał w domu tradycyjny, stacjonarny telefon. – Przepraszam, że ostatnio nie dzwoniłem. Trzymasz się jakoś? Tak. Aha. U mnie dobrze. Tak. Jasne, że padnę.

Matka mieszkała teraz sama, w zbyt dużym mieszkaniu, które przy każdych odwiedzinach wydawało się większe i ciemniejsze. Ona sama za to wydawała się coraz drobniejsza i bardziej krucha.

Obiad był dobry, ale rozmowa się nie kleiła. Kiedy ostatni raz rozmawiał szczerze z matką? O czymś więcej niż szkolnych kłopotach dzieci dalekich kuzynek albo podupadających na zdrowiu ciociach, wujach, ich kuzynach i kuzynkach oraz nigdy niewidzianych rodzicach chrzestnych tych kuzynek?

A czy chciał z nią szczerze rozmawiać?

Pomyślał, że przecież to może działać w drugą stronę – że matka nie chce dotknąć w nim bolących, niezabliźnionych miejsc, właśnie dlatego, że jest matką. Że omija wilcze doły, czepiając się nieistotnych tematów konwersacji, jakby były ratunkowymi linami. I tak tańczyli wokół siebie, niczym wytrawni mistrzowie dyplomacji, ze wszelkich sił unikający powiedzenia czegoś, co naprawdę ma znaczenie.

Przed wyjściem poprosił jeszcze o pomoc. O szarą kopertę z szuflady biurka. Na kilka dni, obiecał. Oddam, obiecał. Na pewno, obiecał.

Obiad był dobry, ale do domu wrócił smutny.

...i kolejne dni

Spiskował. Jak przystało na człowieka wiodącego podwójne życie.

Było to na swój sposób ekscytujące, ale jednocześnie męczące. Niczym kandydat na szpiega uczył się wszędzie widzieć podejrzone spojrzenia i nadmiernie ciekawskich, czyli potencjalnie niebezpiecznych obywateli. Płacił gotówką i starał się nie bywać bez potrzeby dwa razy w tym samym miejscu. Internet okazał się bezcenną pomocą, bo dostarczał nieprzebranej mnogości potrzebnych informacji, a jednocześnie przekleństwem – bo dostarczał nieprzebranej mnogości informacji. Dość szybko można było w nim ustalić, czego dokładnie potrzebuje, ale już wybranie konkretnych wykonawców okazało się trudne. Był w końcu tylko amatorem. Na szczęście ludzie nie wtykają nosa w cudze sprawy, w każdym razie nie tak często jak kiedyś.

Dwa problemy, które martwiły go najbardziej, to monitoring metra i policja. W tej właśnie kolejności. Na szczęście nie potrzebował wiele czasu. Na nieszczęście jedyny sposób ograniczenia widoczności w metrze, jaki udało mu się wymyślić, utrudniał także wykonanie zadania. „Zadanie”. Tak to sobie wymyślił, takiego określenia używał w głowie, kiedy wszystko układał. „Zadanie”.

Trzeci problem był najgorszy – potrzebował współnika.

Skąd, u licha, miał go wziąć? Życie to nie serial, gdzie gość w potrzebie zagląda do podrzędnego baru, przed którym stoją zaparkowane gigantyczne motocykle, a wewnątrz przy dzbanach piwa czekają wytatuowani desperaci do wynajęcia. W filmach wszystko było prostsze: facet wchodzi do speluny, rozsypuje, dajmy na to, sól na stoliku i pisze palcem: „Kwinto”. I od razu znajduje się ktoś, kto podejmie się zlecenia. Niemożliwe w prawdziwym życiu. Nie tylko dlatego, że w większości knajp można dziś rozsypać nie sól, a najwyżej słodzik.

Chcesz pomocy, pomóż sobie sam – doszedł wreszcie do wniosku. Najprostsze rozwiązania są najlepsze.

Wszystko to sprowadziło go na stację metra Centrum w godzinach szczytu, prosto w tłum. Warszawski tłum nie wydawał się jeszcze taki najgorszy. W porównaniu z tym, co dzieje się w krytycznych chwilach na peronach Londynu, nie mówiąc o Tokio, w Warszawie było spokojnie i dość luźno. Co zresztą sprzyjało jego planom, bo potrzebował miejsca, żeby się rozpędzić.

Każdy, kto wsiadał do warszawskiego metra, widział taką scenę nie raz: skład wjeżdża na stację, co wywołuje natychmiast niesłychane ożywienie wśród poważnych na pozór ludzi, którzy w tej chwili znajdują się jeszcze przy bramkach, ale na dźwięk hasła: „Uwaga, nadjeżdża pociąg” zamieniają się w gnających w dół na łeb, na szyję szaleńców.

Tym razem jeden z szaleńców, młodzieniec w czerwonej wełnianej czapce, rozpędził się tak bardzo, że nie wyrobił się w chwili, kiedy ze schodów trzeba było skręcić na peron. Odbił się od wielkiego jak góra mężczyzny w czarnym płaszczu, po czym, rozpaczliwie machając rękami, łupnął o gablotę reklamową numer 8507185. Gablota pękła.

– Przepraszam, przepraszam – mamrotał, leżąc na posadzce. – Nic mi nie jest. Przepraszam!

A potem, nim ktokolwiek zdążył mu zaoferować pomoc, zaskoczył zgromadzonych gapiów, spośród których połowa chciała wzywać pogotowie, a druga połowa pomstowała na dzisiejszą młodzież. Zerwał się z podłogi, gibko gnając do najbliższego wagonu metra, którego drzwi dopadł niemal równo z burkliwym brzęczykiem sygnalizującym ich zamknięcie. Ale zdążył wśliznąć się do środka, gdzie natychmiast rozpoczął długi marsz do przodu składu. Miał szczęście – ten pociąg linii M_1 (jak od niedawna z dumą głosiły wyświetlacze) pochodził z najnowszej dostawy. Był to długi, bezprzedziałowy wąż składający się niemal z samych rozsuwanych drzwi. Łatwo można się w nim przemieścić i zgubić.

Na stacji Politechnika wmieszał się w tłum, schował czapkę do kieszeni i pomyślał, że tym razem pójdzie do domu na piechotę.

Pięć dni
przed dniem ostatnim

A jeśli pomysł był idiotyczny?

Następnego dnia obserwował z galerii handlowej metra Centrum, peron kierunku Młociny, jak po drugiej stronie torów dwóch facetów przysłanych przez firmę, której własność stanowiła gabłota reklamowa, wymienia w niej popękana szybę. To znaczy koncepcja była może i dobra, ale do wykonania zadania to nie wystarczało. Co osiągnął, poza gigantycznym siniakiem na plecach?

Cierpliwości, pomyślał. Może mu się poszczęści.

A może będzie miał pecha? Co, jeśli ktoś oglądający taśmy monitoringu odkryje, że przypadkowy sprawca rozbicia gabłoty nieprzypadkowo trzymał pod pachą łom, którego uderzenie gwarantowało efekt dużo lepszy od najmocniejszego nawet walnięcia kręgosłupem w pleksiglas?

W każdym razie to nie na tych dwóch facetów czekał. Niech sobie naprawiają gabłotę.

Żeby zabić czas, udawał, że przyszedł na zakupy. Przekartkował kilka książek prawniczych w księgarni, obszedł kilka razy wnętrze sklepu z komiksami, spróbował chwycić kilka akordów na jednej z akustycznych gitar wystawionych w salonie muzycznym. Kupił colę i gazetę w kiosku. Potem poszedł do automatu biletowego po do niczego mu niepotrzebny bilet dwudziestominutowy.

Po półgodzinie uśmiechnęło się do niego szczęście.

Przy gablocie numer 8507185, w której niemiłosiernie migały świetlówki (może jednak coś naprawę uszkodził, waląc plecami w szybę?), rozkładał się z narzędziami chudy elektryk w roboczym, drelichowym ubraniu.

– Awaria? – zapytał, podchodząc do elektryka.

– Wandale – powiedział elektryk. – Pewnie kibole. Ludziom już kompletnie odbija. Co im zrobiła ta... Zaraz, czy ja pana już tu kiedyś widziałem?

Trochę później

Każdy potrzebuje roboty. Elektrycy też.

Zlecenie było o tyle wiarygodne, że z instalacją w mieszkaniu naprawę coś się pieprzyło od samego początku. Żarówki w łazience lubiły brzęczeć i przepalały się po kilku tygodniach. W pokoju nie dało się właściwie podłączyć światła pod sufitem – zawsze któraś z czterech lamp nie działała, a włączenie jednocześnie zmywarki i pralki nieodmiennie kończyło się wywaleniem korków. Generalny remont sprzed kilku lat niewiele pomógł.

Chudy elektryk zabrał się do pracy wyjątkowo sumiennie, łącznie z rozkuciem kilku miejsc, gdzie odnalazł źle zabezpieczone i umieszczone niezgodnie z regułami sztuki puszki z kablami. Potem opowiadał coś szczegółowo o odwróconych czy też źle podpiętych fazach. Za popołudnie pracy dostał więcej pieniędzy niż zwykle w takich przypadkach. Ale niedużo więcej. Tak, żeby zapamiętał, ale by nie nabrał podejrzeń.

– Mam taką głupią sprawę – usłyszał kilka dni później chudy elektryk od swojego nowego klienta. – Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale...

Elektryk nie odmówił od razu. To był dobry znak. Poprosił o czas do zastanowienia.

Z takich prośb nigdy nic dobrego nie wynika, trzeba było kuć żelazo, póki gorące.

– Ten zakład, wie pan, to w sumie spore pieniądze – tłumaczył więc elektrykowi, czując, że to jedyna szansa. – Myślałem, że moglibyśmy się, wie pan... jakoś podzielić.

Potem podał kwotę. A kiedy po drugiej stronie słuchawki usłyszał długą chwilę milczenia, wiedział, że się udało. Musiał tylko zapewnić jeszcze, że cała sprawa nie ma nic wspólnego z polityką.

– Sam pan zobaczy – obiecał elektrykowi. – Zwyczajny zakład. Potrzebuję dosłownie pięć minut. Powiedzmy, trzy minuty.

– No dobra – powiedział chudy elektryk.

Dzień zero

Umówili się na niedzielny poranek. To była dobra pora. Ludzi w metrze było dużo mniej niż zwykle, pociągi też jeździły rzadziej. Patrole policji i straży miejskiej były odpowiednio zaspane, choć o tym akurat nie wspominał, zachwalając zalety tej, a nie innej godziny.

Przyjechał pierwszy i kręcił się chwilę po peronie. Z szafy wyciągnął tego dnia jakąś starą dżinsową kurtkę i szare spodnie. Miał nadzieję, że uzyska w ten sposób odpowiedni wygląd – robotniczy czy rzemieślniczy, ale przypominał raczej żula strojącego się na niedzielę w ciuchy z lumpeksu. Z grubsza chodziło o to, że chciał sprawiać wrażenie współpracownika elektryka, a w każdym razie kogoś, kto z racji obowiązków służbowych ma powód, by w niedzielny poranek stać przed gablotą reklamową numer 8507185.

Elektryk przyjechał, tak jak było umówione, o ósmej trzydzięci. Nieodłączną skórzaną kanciąstą torbę z narzędziami postawił pod ścianą.

Czekał.

Kiedy w jego dłoni znalazły się odliczone i obiecane wcześniej pieniądze, otworzył gablotę. A potem odwrócił się, by dokonać oględzin sąsiedniej. Taka była umowa. „Ja się, panie, w żadne dziwne zakłady nie bawię, niczego więcej nie robię, tylko otwieram” – zapowiedział elektryk. I tak zrobił. Mógł więc z czystym sumieniem twierdzić, że nie widział, kto zdjął plakat reklamujący „Amazing Spider-Mana 3”.

Nowy plakat był gruby i błyszczący. Żadne ksero, porządny druk na papierze solwentowym, sztuk jeden, format B0. Metr czterdzieści jeden wysokości na metr szerokości. Sztuk jeden.

Ponieważ nie wiedział, jak dokładnie wygląda technika przytwierdzenia reklam do wnętrza gabloty, miał ze sobą kilka samoprzylepnych dwustronnych plastrów. Były spore, więc powinny utrzymać ciężar.

I utrzymały.

Zamknął gablotę. Cichy stuk zaginął w szumie składu metra, który właśnie wjeżdżał na peron stacji Centrum. Począł, aż wysiadający przetoczą się przez schody, cofnął się o kilka kroków i sięgnął po komórkę. Pstryk, pstryk. Musiał to zrobić, żeby podtrzymać legendę: zdjęcia jako dowód. To właśnie powiedział elektrykowi. To miało być celem całej operacji, bo szło o zakład. Założył się, że bez rozmów z firmą STURMER, właścicielem billboardów i gablot reklamowych, umieści na jednym z jej nośników zdjęcie pewnego powszechnie nie lubianego wykładowcy. Pstryk, pstryk, wygrał.

Tylko że żadnego zakładu nie było, a człowiek z plakatu nie był żadnym wykładowcą.

Punkt druku wielkoformatowego, z usług którego skorzystał, sprawił się naprawdę dobrze. Niewielkie zdjęcie przechowywane dotąd w szarej kopercie nie straciło na jakości podczas powiększenia. Grafik ze studia nawet podbił ostrość i wyrównał kolory.

Wszystko wyglądało tak, jak to sobie wyobrażał.

Stał i patrzył.

A potem wystukał numer.

Rozmowa dwudziesta ósma

Biiip.

Cisza.

Biip.

– Halo – rzekł cichy, nieco drżący głos.

– Cześć, tato – powiedział. – Trzymasz się jakoś?